

Współ z Maciejem Polkowskim napisał książeczkę pod bardzo obiecującym tytułem „**Futbol na tak**”. Sądziłem, że znajdę w tej publikacji odkrywczą odpowiedź na postawioną tezę: – **Co to właściwie znaczy i jak należy rozumieć pojęcie „Futbol na tak”**. Ofensywny, odważny, widowiskowy, skuteczny?... To już dobrze znam z opisów teoretyków i własnej obserwacji wielu „cudownych” reprezentacji, w tym także tej „niepowtarzalnej” prowadzonej w latach 1971 – 1976 przez Kazimierza Górskiego.

Dziś tamte wartości można oczywiście potraktować jako „futbol retro”, tu i ówdzie już zapomniany i nie przystający do wymogów nowoczesności, słowem – uznać za „futbol na nie”. Współczesność stawia bowiem coraz większe i ambitniejsze zadania. Piłka nożna jest żywym organizmem, nieustannie się rozwija, można powiedzieć, że nie do końca rozpoznana i że wciąż tkwi w jej głębi sporo tajemnic i możliwości. Engel nie przybliży nas do poznania tych jeszcze nieodkrytych prawd. Nie wyjaśnia, czy obok stale doskonalonego sprzętu, pomysłów w budowie stadionów, istic diabelskich rozwiązań w produkcji urządzeń pomocniczych, umiejętności serwowania zawodnikom dozwolonych i zabronionych środków wspomagających organizm oraz postępu w warstwie odnowy biologicznej, te czysto piłkarskie wartości są teraz również coraz lepsze? Technika, taktyka, szeroko pojęta motoryka i cechy wolicjonalne...

Niemal wszystko jest teraz inne i nieco inaczej postrzegane. Ale czy lepsze, a jeśli tak to dlaczego? Co spowodowało, że dzisiejszy futbol jest szybszy, twardszy, niekiedy przypomina sporty walki – rugby i zapasy? Stało się tak dzięki większym indywidualnym umiejętnościom zawodników, bogatszym dziś formom zespołowości czy głównie za sprawą rewolucji w dziedzinie infrastruktury? Zapewne oba te zjawiska korzystnie wpływają na rozwój dyscypliny. Po prostu tworzą „futbol realny” na miarę czasów, wiedzy teoretyków i praktyków, ale też nie wolny od kaprysów właścicieli klubów, warunków stawianych przez

sponsorów, wreszcie uzależniony od sprawności rodzimych i międzynarodowych federacji.

Nie zawsze i nie wszędzie jest to „**futbol na tak**”, zarówno w sferze szkoleniowej jak i w formach organizacji i zarządzania. Coraz wyraźniej gubimy przypisane sportowi wartości moralne i... uświęcone tradycją proporcje. Podupadają podstawowe funkcje szkoleniowe. Zaczyna – również u nas – przeważać dążenie do zwycięstw za wszelką cenę i pomnażania kapitału nie zawsze uczciwą drogą. Ekonomia i chęć zysku góruje nad walorami czysto sportowymi. Problem mocno złożony, wymaga wykładni naukowców i pomocy sprawnego pióra. Duet Engel – Polkowski aż tak dużych walorów nie zaprezentował. Śmieszą też zapewnienia, że: *„Pozytywny sposób myślenia oraz determinacja i wiara w osiągnięcie celu doprowadziły do sukcesu” (J. Engel) „Potrafiono wznieść się na wyżyny, przekroczyć barierę najśmielszych marzeń i wyobraźni... Dzięki Jerzemu Engelowi i jego ludziom poczulśmy, że bliżej nam do futbolowego świata” (M. Polkowski)*

Komunały, sporo przy tym przejawów amnezji. Znacznie „**blżej futbolowego świata**” byliśmy już w erach Górskiego i Piechniczka. Gdyby taki tekst ukazał się w latach „realnego socjalizmu”, nazwalibyśmy to „propagandą sukcesu”. Teraz ów slogan z powodzeniem można by zastąpić sformułowaniami typowymi dla gospodarki rynkowej – naiwny marketing i rozdmuchana reklama. Na World Cup 2002 w grupie z Koreą Południową, Portugalią i Stanami Zjednoczonymi reprezentacja wychwalana przez Engela zajęła ostatnie miejsce. To nie był „futbol na tak” czyli według sugestii selekcionera taki, który zadowalał by gusta kibiców.

Naiwna okazała się też engelowska „żelazna reguła”: ... „prawy obrońca musi grać na prawej obronie, środkowy na środku, a prawy pomocnik na prawej pomocy, napastnik w ataku, a rozgrywający musi być rozgrywającym”. Wskazów-

ki dla piłkarskich przedszkolaków bądź wtórnych analfabetów. Od blisko 40 lat znam zupełnie inne reguły: „gra wszystkimi siłami”, „piłkarska wszechstronność”, „uniwersalizm ograniczony”. Wtedy też mówiono, że to „futbol na tak”. W świetle prawd lansowanych przez Engela dziś byłby to „futbol na nie”. W meczach z gospodarzami i Portugalią Polacy nie potrafili obronić „złotych myśli” selekcyjera. Nikłe pojęcie mieli też, choć to umiejętności z „zamierzchłej epoki” o „wszechstronności” i „uniwersalizmie ograniczonym”. Brak tej wiedzy musiał się źle skończyć. Reszty zła dopełniło słabiutkie rozeznanie w możliwościach rywali i własnych zawodników. Dopiero „drugi rzut” graczy w meczu z USA co nieco uratował twarz selekcyjera. Bo ci rzekomo najlepsi pułap swoich możliwości osiągnęli już we wstępnych eliminacjach.

W sekwencji „**Godne pożegnanie**” Engel przekonuje, że „trzeba się mocno koncentrować, by zyskać szacunek kibiców, by odpowiedzieć na „tak” tym wszystkim, którzy w Polsce wiedzą wszystko lepiej na „nie”. A jeśli chodzi o tę reprezentację zawsze się mylili i nadal się mylą”. Wylazł z worka pyszałek. Nie mylił się tylko Engel. Swoim narcyzmem i bałamutnymi obietnicami przed World Cup 2002 zdołał zarazić sporą grupkę przydupasów, a kilku nadmierne rozgorączkowanych klakierów omal nie doprowadził do orgazmu. Po „koreańskim niewypale” nawet niektórzy z tych aplegierków zaczęli pomrukiwać, że „król jest nagi”.

Tak czy inaczej początek XXI wieku przyniósł Jerzemu Engelowi rozgłos i sławę. Jednak bardziej niż osiągnięte wyniki, przyczynił się do tego Jan Tomaszewski, ni z gruszki, ni z pietruszki, czołowy apologeta niedoszęłego mistrza. Jego zdaniem cały PZPN – to zgraja nieudaczników, na tle których błyszczy właśnie gwiazda uskrzydłonego Engela. Ja też znam pana Jerzego od ponad ćwierć wieku, zawsze starałem się być dlań życzliwy i z uwagą śledziłem jego trenerską karierę. Zaczynał wcześniej, już jako „trzydziestolatek” przebojem wdarł się na Ła-

zienkowską, ale – jak tylko zdołam sięgnąć pamięcią wstecz – marzył o pozycji jaką osiągnął Kazimierz Górski. Nie ukrywał tego ani przed swoim idolem, który w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia był prezesem PZPN, ani przede mną – ówczesnym wiceprezesem. Świadkiem tych rozmów była nie tylko nieistniejąca już kawiarnia „Ewa” przy Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Odnieśliśmy wrażenie, że pobyt na Cyprze Engel traktował jako dobrze płatną egzotyczną przygodę, ale nie zaspokajającą jego ambicji. Natomiast możliwość znaczącej w odczuciu społecznym pracy w PZPN uważał za życiową szansę. Dopiął swego i chwala mu za to. Sprytu i inteligencji trudno było by mu odmówić. Pozostał więc ulubieńcem niektórych mediów także po zakończeniu misji niespełnionej w PZPN. Zadziwiająco sprawnie i skutecznie wcielił się wówczas w rolę telewizyjnego komentatora. Tu w roli piłkarskiego mentora prześcignął nawet pozującego na erudyte znanego bramkarza. Engel wyraźnie lubi być na wierzchu. Nieco wcześniej, wkrótce po mistrzostwach Europy w roku 2000, ujawnił swoje spojrzenie na współczesny futbol również w książce Marka Ołdakowskiego **„Tytuł dla Francji”**.

Tak się złożyło, że w tejże publikacji z pozycji eksperta ja również się wypowiedziałem. Nasze widzenie futbolu, jego historii, rozwoju, niuansów systemowo-taktycznych dnia dzisiejszego już wtedy nie zawsze było zbieżne. Niekiedy także fakty podważały wiarygodność prawd wygłaszanych przez selektonera. To drobiazg. Bardziej raziło ujawnienie przyczyn naszego niepowodzenia w eliminacjach mistrzostw Europy. Jerzy Engel przekonywał, że na tę formę rozgrywek z reguły znacznie większy (ujemny) wpływ miały względy polityczne niż sportowe. To już jawny skok w przepaść! Co na to Hiszpanie, Francuzi, Holendrzy, Niemcy i Anglicy? Wygrywali z nami dlatego, że byli sprawniejsi politycznie? Dla mnie zawsze ważniejsze były i są racje sportowe. Nie do-

rastamy do poziomu Europy: piłkarsko, mentalnie, finansowo. Stąd nasza niemoc wobec wyjątkowo gęstego sita eliminacji, gęstszego, niż w eliminacjach mistrzostw świata. W Europie jest więcej klasowych drużyn, niż na pozostałych kontynentach. To jest i kolebka i twierdza futbolu! Stąd i o awans do finałów jest znacznie trudniej.

Pewne różnice zdań zarysowały się również przy ocenie faktycznych umiejętności naszych piłkarzy, Jakie są ich niedostatki w stosunku do europejskiej czołówki? Jerzy Engel na czoło wysuwa brak mocnych charakterów. Nie umiemy wygrywać? Upraszcza sprawę. Niezłomne charaktery i mentalność zwycięzców są to cechy ważne w każdym zawodzie. Ale rzeczywiście prawdą jest, że wysokie morale i silne pierwiastki patriotyczne są w sporcie najbardziej pożądane. Tu się zgadzamy, bo bez tych przymiotów trudno o dobrą pozycję również w futbolu. Jednak nie są one w stanie zastąpić wiedzy stricte piłkarskiej. Mogą tylko duchowo wesprzeć trzy istotne filary szkoleniowe: technikę, taktykę, kondycję.

Spór to zresztą czysto teoretyczny, praktyka rozstrzyga, co jest pierwotne, a co wtórne, duch czy materia. Piłkarstwu potrzebne jest i zdrowe ciało i zdrowy duch. Ale i to nie wystarcza, potrzebne są przede wszystkim wybitne indywidualności w gabinetach prezesów i warsztatach trenerskich oraz gwiazdy na boisku. Takich właśnie działaczy, trenerów, no i oczywiście piłkarzy miała wtedy Francja, przeto wywalczyła – najpierw w roku 1998 mistrzostwo świata, a w 2000 – mistrzostwo Europy. Zgrabnie opisał to właśnie Marek Ołdakowski były dziennikarz „Piłki Nożnej” i „Przeglądu Sportowego”. Trzeba być jednak obiektywnym, kilka cennych uwag w książce Ołdakowskiego przekazał również Jerzy ENGEL:

...„Ostatnio Francuzi triumfują na wszystkich ważnych zawodach. Spójrzmy na ich piłkę młodzieżową. Tu też nie ma żadnego przypadku. To jest efekt właściwej skutecznej, spokojniejszej, planowej pracy. Celem jest „produkcja” wyśmiej-

nitych piłkarzy, którzy potem kosztują miliony dolarów. To też konsekwencja decyzji rządowych, wspaniałej, przemyślanej do najdrobniejszych szczegółów organizacji, w której nie ma miejsca na improwizację, akcyjność... I nie mam tu wcale na myśli jedynie słynnych w całej Europie francuskich szkółek piłkarskich, ale mówię o pewnych sprawach generalnych, zasadniczych, o klubach i ich zapleczach. Są one zobowiązane do szkolenia młodzieży, w warunkach sprzyjających rozwojowi piłkarzy. Francja ma też doskonałych szkoleniowców, oni – „masowo” tak, jak my nie gubią talentów. Chłopcy grają na stadionach jak z bajki. To kosztuje, ale – brutalnie mówiąc – jest to swoista lokata kapitału. Tak dziś kształtują wizerunek futbolu kraje z Unii Europejskiej”.

Tu moje myśli były zbieżne z opinią Engela. Stwierdziłem, że: ... „Francja – to swoisty fenomen. Pozwolę tu sobie na pewne uogólnienie. Otóż, moim zdaniem, historia spłaca teraz dług wdzięczności wobec Francji. Co przez to rozumiem? Ano to, że to przecież Francuzi są twórcami wszystkich wielkich imprez światowej rangi w piłce nożnej: mistrzostw świata i Europy, także europejskich rozgrywek pucharowych, którymi wszyscy pasjonujemy się od lat. Byli pomysłodawcami i realizatorami tych idei: Jules Rimet, Henri Delaunay, Gabriel Hanot... Radzę zapamiętać te nazwiska. To słupy milowe w dziejach piłki nożnej. Sami Francuzi. Oni przez całe dziesięciolecia tak byli zaabsorbowani tym tworzeniem dla wszystkich, że zapomnieli o sobie.

A teraz robią i jedno, i drugie, nawet nieco bardziej akcentując potrzebę własnych sukcesów, bo światu dali już bardzo dużo. I może jest to jedynie poetycka przenośnia, ale – powtarzam – właśnie teraz historia spłaca im dług wdzięczności, a oni potrafią to wykorzystać. Byłem kilka razy we Francji na międzynarodowych turniejach w Saint Malo, Monaco, Cannes i wszystko widziałem na własne oczy. Tam nie ma błagania o pomoc dla młodych piłkarzy, tam praktycznie każdy ośrodek, nawet najmniejszy, już wiosną organizuje jakiś turniej i dzie-

ciaki wszędzie grają w piłkę, niekoniecznie na dużych boiskach. Także różnokolorowi... Francja jest uważana za pierwszy kraj na świecie, któremu obce są różnice rasowe. Tam w futbolu liczy się tylko talent, rozum i chęć do gry.

W książce Marka „Tytuł dla Francji” w obu naszych wypowiedziach jest też sporo wątków dotyczących polskiego piłkarstwa. Co powodowało, że niegdyś w Paryżu wygrywali nie tylko medaliści mistrzostw świata z Hiszpanii, lecz także ich znacznie starsi koledzy: Brychczy, Pohl, Woźniak, Oślizło, Lentner? Wprost odpowiedzieć na to pytanie nie jest łatwo, trzeba jednak ujawnić jedną prawdę – oczywistą. W przeszłości Francuzi górowali nad nami tylko wyszkoleniem technicznym, teraz lepsi są również w pozostałych elementach sztuki piłkarskiej. W latach sześćdziesiątych „trójkolorowi” mówili o „biało-czerwonych” – to typowi reprezentanci futbolu siłowego, świetni kondycyjnie. A dziś trudy walki na boisku wytrzymują lepiej, niż my. Może inaczej, to znaczy bardziej odpowiedzialnie pojmują status zawodowca?

W styczniu 2001 roku zapoznałem się również z opracowaniem obserwatorów PZPN p.t. **„Raport z finałów Mistrzostw Europy Belgia – Holandia 2000”**. Głównymi autorami tego raportu są Władysław Żmuda i Władysław Szyngier, ale spory wpływ na ostateczny kształt tego dokumentu mieli także: Jerzy Engel, Edward Klejdinst, Edward Lorens i Orest Lenczyk. Objętościowo ów raport jest godny uwagi (164 strony wydania książkowego), ale wartości odkrywcze ma niewielkie. Zdaniem polskich szkoleniowców w Belgii i Holandii piłkarska Europa potwierdziła swój znaczący wkład w rozwój światowego futbolu, ale zbyt dużo nowości nie zaprezentowała. Przeto i nasi obserwatorzy powielili prawdy już dość powszechnie znane:

...„Najlepsze zespoły tych mistrzostw potwierdziły kierunek dalszej ewolucji piłki nożnej. Współcześnie w takiej imprezie nie wystarczy grać solidnie, dobrze taktycznie, bazując tylko na przygotowaniu motorycznym i czekać na błę-

dy przeciwnika. Trzeba umieć grać ofensywnie, zaryzykować, stwarzać sytuacje bramkowe i zamieniać je na bramki. Do przeszłości należy typowe ustawienie czwórki obrońców, gdy przeciwnik gra jednym napastnikiem w przodzie – wystarczają często tylko dwaj obrońcy... Gra skrzydłami to w dalszym ciągu skuteczny środek przeciwko skomasowanej obronie, ze szczególnym akcentem gry ofensywnej bocznych obrońców”...

Takie „rewelacje” systemowo-taktyczne mogły szokować świat po Mundialach w roku 1966 i 1970, ale nie ponad trzydzieści lat później w Europie. Ja też na swój sposób, wprawdzie tylko na szklanym ekranie, oglądałem, a potem oceniłem te mistrzostwa. Wnioski z obserwacji zawarłem w obszernym tekście w „Polskiej Piłce” – OBALANIE MITÓW:

... „Rzeczywistość wyszła naprzeciw moim marzeniom: przestaje straszyc wiara w nadprzyrodzone właściwości własnych boisk... Łatwiej też teraz odrzucić absurdalną tezę Gary Linekera, że ... „piłka nożna jest taką grą, w której zawsze wygrywają Niemcy”. Portugalia, Rumunia i Anglia wymierzyły „wiecznym zwycięzcom” niezwykle bolesny policzek. Byli mistrzowie świata i Europy wywalczyli tylko jeden punkt i strzelili tylko jedną bramkę. „Niemiecki czołg” nie miał pocisków... Dania, mistrz Europy z 1992 roku też nic nie wskórała. Ale w głowach rodzimych mędrców wciąż żywe jest utopijne przekonanie, że ... „stać nas na model duński”, to znaczy niemal wyłącznie oparty o „stranierich”. Tak budować reprezentację czy tak w niesławie przegrywać? Totalna bzdura!

Hiszpanie, zwłaszcza Włosi, którzy dobrnęli aż do finału, wybrali inną drogę: zbudowali reprezentację z zawodników występujących wyłącznie we własnej lidze. Wypadało by „być za”, ale z konieczności trzeba być „przeciw”. Włoski wariant wykracza bowiem poza nasze pole działania, polska liga jest za słaba... Nurtują człowieka jeszcze inne wątpliwości. Czy w świetle tego, czym ura-

czono nas w Belgii i Holandii można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że triumf ofensywnego stylu gry ostatecznie odwiedzie przegrane zespoły od preferowania taktyki obronnej?

Tu też trzeba umieć zachować umiar. Z jednej strony wręcz niepoważne jest zauroczenie li tylko „radosnym futbolem”, a z drugiej – dbanie wyłącznie o własne bezpieczeństwo. Piłka nożna jest grą do dwóch bramek. Trzeba więc umieć się bronić i atakować. Najlepiej robiła to Francja i dlatego wygrała. Mistrzowie Europy dostarczali pięknych wrażeń zarówno wtedy, kiedy atakowali, jak i wówczas, kiedy się bronili. Nic nowego, zawsze górą są ci, którzy wspaniałą techniką, rozsądną taktyką i nienaganną kondycję wspierają zespołem cech wolicjonalnych. Są to w piłkarstwie wartości trwałe, ponadczasowe...

Być dziś „prawdziwym profesjonalistom” nie jest wcale łatwo. Trudów dziesiątków meczów rozgrywanych w ciągu roku: mistrzowskich we własnych krajach, o drogocenne punkty w europejskich pucharach i światowych turniejach drużyn klubowych, o jeszcze cenniejsze w barwach reprezentacji i kosztowne w grach towarzyskich nie wytrzymują nawet najlepsi. Po prostu buntują się ich organizmy. Była to jedna z głównych przyczyn, które spowodowały, że ogólny poziom ostatnich mistrzostw świata w Japonii i Korei Południowej nie był najwyższy. Niewątpliwie w pamięci kibiców bardziej utkwiły Mundiale z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Właśnie wtedy, zwłaszcza w roku 1974 w Niemczech i 1982 w Hiszpanii, nasza reprezentacja jak równy z równym grała z: Argentyną, Brazylią, Niemcami i Włochami, wyeliminowała Anglików, a Holendrów w eliminacjach ME rozbiła w drobny mak.

Na Weltmeisterschaft '74 mieliśmy jednak drużynę wyjątkowo dobrą, śmiało można powiedzieć „niepowtarzalną”, bo nawet ta z roku 1982 w Hiszpanii nie wszystkim przypadła do gustu. „Cesarz” Franz Beckenbauer na przykład w swej pięknie wydanej książce o Mundialu w Hiszpanii napisał:

... „W roku 1974 reprezentacja Polski była dla wszystkich wielką niespodzianką, jej młodość, polot i fantazja rokowały nadzieję na dalszy rozwój. Jednak już w roku 1978 w Argentynie widać było, że ta drużyna nie poczyniła oczekiwanych postępów. Natomiast ten zespół, który tak dzielnie walczył w Hiszpanii, osiągnął więcej niż można było się spodziewać. Drużyna solidna, reprezentowała prosty futbol, nic więcej. Tylko jej lider Boniek, bramkarz Młynarczyk oraz rutyniarze Lato i Żmuda przypominali tę ekipę z 1974 roku”.

Jeśli w tym świetle spojrzymy na zespół, który był w Korei Południowej, to nadziei na dobry wynik być nie mogło. Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa faworytem „naszej grupy” byli gospodarze. I cel osiągnęli. A kto drugi poszedł dalej? – Stany Zjednoczone... Reprezentanci Europy w odwrocie. Jerzy Engel był przekonany, że udane przedmundialowe eliminacje „wykreowały gwiazdy w każdej formacji”... Miały nadawać blasku naszej drużynie. Zła ocena własnych możliwości. Trener Górski przestrzegał przed nadmiernym optymizmem: – „Najgorzej być pewniakiem... Trenera i zawodników musi cechować niepokój twórczy, bo z własnego doświadczenia wiem, że „nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej”. Moim zdaniem w obecnej kadrze mamy nadmiar starszych wiekiem i stażem zawodników”...

To musiało się źle skończyć. W Korei zawiedli zresztą nie tylko Polacy, prezentując futbol „nie na tak” głównie w meczach z gospodarzami (0:2) i Portugalią (0:4). Także Francuzi – niedawni mistrzowie świata i Europy nie dali rady Danii, Senegalowi, Urugwajowi. Tak, jak nam – przypadła im w grupie czerwona latarnia. Przyczyna? Lepszy rywal wyznaczyli miejsce w szeregu. Poza tym Jerzy Engel nie miał dostatecznego rozeznania we własnej ekipie. Dopiero gdy „rezerwowi”: Majdan, Kłós, Zieliński, Głowacki, Murawski i Kucharski wzięli sprawę w swoje ręce, wygrali z USA 3:1. Znowu tylko „łabędzi śpiew”, bo już dawno było „po herbacie”. W sumie tak zły postawy w sześciu naszych

dotychczasowych występach w finałach mistrzostw świata (1938, 1974, 1978, 1982, 1986, 2002), jak ten ostatni w Pusan, Jeju i Daejeon jeszcze nie przeżyliśmy. Rozczarowanie powszechne. Obiecywano miejsce na podium, a odpadliśmy już w przedbiegach.

Ułomność naszej telewizji publicznej spowodowała, że tym razem to wszystko, co działo się na World Cup 2002 było dla większości sympatyków futbolu niedostępne. Przypomni mi się rok 1970, kiedy to – aby nieco bliżej zorientować się, co jest grane w Meksyku – trzeba było jechać aż pod „ruską granicę” i tam w sowieckiej TV smakować mundialowe dania, benefis Pelego i radość carinhos. Teraz należało wprosić się do sąsiada i wypić z nim pół litra (miał dekodery Polsatu), by obejrzeć na szklanym ekranie coś więcej, niż skrawki Mundialu w TVP. W mediach „pisanych” też bardziej częstowano nas „otoczką mistrzostw”, niż wartościami czysto sportowymi, o nowościach szkoleniowych już nie wspominając. Jan Tomaszewski nie jest bohaterem moich ulubionych romanсів, ale tym razem zapewne miał rację sugerując, że:

... „Moje ostrzeżenia nie zrobiły najmniejszego wrażenia na żadnym z Listkoludków, a to z tej prostej przyczyny, że reprezentacja zakwalifikowała się do finałów i miodowi chłopcy mogli bezkarnie realizować swoje prywatne cele (opylać prawa do transmisji TV bez przetargu, sprzedawać wizerunek reprezentacji do różnego rodzaju... zup oraz tuszować brzydkie sprawy itp., itp.), wychodząc widocznie z założenia, że Temida przymruży oczy na wszystkie szwindle”.

Nasze powojenne dążenia do udziału w finałach mistrzostw świata zaczęły się w 1957 roku. Moskwa, Chorzów i Lipsk – to były pierwsze miasta, w których na własne oczy oglądałem nieudaną rywalizację „biało-czerwonych” z reprezentacją byłego Związku Radzieckiego. Później w połowie lat sześćdziesiątych były kłopoty w meczach z Jugosławią w Chorzowie i z Wło-

chami w Warszawie, u schyłku tego dziesięciolecia z Bułgarią w Sofii, wreszcie w „erze Górskiego” wiwaty po wygranych z Anglią i Walią. Byłem też – co szczegółowo opisuję to w tej publikacji – „świadkiem koronnym” zwycięskich spotkań o trzecie miejsce na świecie z Brazylią w Monachium i Francją w Alicante. Bryndzę w Meksyku z trudem trawiłem już tylko na podstawie relacji telewizyjnych.

W roku 2002 strzepy turnieju z Korei i Japonii pokazane w TVP nawet na to nie pozwoliły. Zrodziło to niedosyt emocjonalny i sportowy, wszak skąpa wiedza serwowana z „okienka” uniemożliwiła szersze i własne spojrzenie na te mistrzostwa. Bo to, czym „raczył” nas w swoich komentarzach Jan Tomaszewski, omal nie doprowadzało do mdłości. Podeprę się więc w tej kwestii również uwagami red. Romana Hurkowskiego. W swojej nowatorskiej książce **„Z piłką do Europy”** kreśli prawdy bliskie moim odczuciom: (Romciu wzruszyłeś mnie dedykacją *„Mojemu mistrzowi i nauczycielowi – Roman”*)

...„World Cup 2002 nie spełnił oczekiwań sympatyków futbolu. Najwięksi zawodnicy byli wyraźnie zmęczeni wyczerpującym sezonem ligowo-pucharowym. Najbardziej odbiło się to na postawie Francji. Selekcjoner Roger Lemerre rzecz jasna z hukiem wyleciał z posady. I nie ma się czemu dziwić, bo żeby obrońcy tytułu nie wygrali meczu i nawet nie strzelili gola – to rzeczywiście kompromitacja. Przez batalię grupową nie przebrnęła też Argentyna, ekipa tuż po Francji typowana do złotego medalu”.

Czyżby więc kolejny zmierzch bogów, co w latach 1966, 1974, 1978, 1982, 1986 i 1990 przytrafiło się również Brazylii? Turniej rzeczywiście obfitował w liczne niespodzianki, ale i one nie przekroczyły dopuszczalnych granic. Triumfowały nie Stany Zjednoczone, Senegal czy Korea Południowa, uznane za rewelacje tego czempionatu, lecz dawne dobre firmy Brazylia i Niemcy. O ile jednak caraninhos byli tym razem jednym z głównych faworytów, a Ro-

naldo akurat wtedy osiągnął życiową formę, o tyle ich partnerzy w finale – zaszczyt tak wysoko głównie w wyniku słabej postawy rywali. Na tle solidnych rzemieślników znad Renu i Łaby momentami błyszczał tylko nasz rodak z Opoli Mirosław Klose. Zdobył pięć bramek i... wszystkie głową. Kocsis pierwszego Mundialu w XXI wieku?

Nie była to drużyna na miarę Maiera, Beckenbauera, Muellera z lat siedemdziesiątych. Dużo gorzej skrojony garnitur. Teraz nawet bramkarz Oliver Kahn w finale nie potwierdził opinii, że jest najlepszy na świecie. W grze finałowej dwa razy mocno go ośmieszył właśnie „wielki” Ronaldo. Osiem zdobytych bramek wyniosło Brazylijczyka na tron króla strzelców. Po kilku latach walki o zdrowie i powrót do sławy – to wyczyn nielada! Właśnie Ronaldo i kilku jego kolegów ze „złotego zespołu” (po raz piąty w historii mistrzostw świata) nieco rozjaśniło szarawy koloryt World Cup 2002. Nowości taktycznych tyle co pies napłakał, a i fajerwerków technicznych zdecydowanie mniej, niż w czasach Di Stefano, Kocsisa, Kopy, Pelego i Maradony. To mogło i powinno być w Korei na rękę naszym „papierowym tygrysom” z ekipy Engela. Iluzja. Współcześni „profesjoniści” w cieniu „państwowych amatorów” sprzed blisko pół wieku...

Nie wiem, czy akurat z tymi samymi „zawodowcami” chciał Engel podbić (w nowym rozdaniu) Europę, ale – na szczęście – w PZPN na to już nie pozwolono. Wtedy eksselekcjoner zareagował nie jak „człowiek przegrany” lecz „niedoceniony”. Miał pretensje do „wszystkich świętych” przebranych nagle w stroje szatana. Ujawnił to Romek Kołtoń w **„Prawdzie o Korei”**, a także w twórczych ze mną dyskusjach w komisji mediów PZPN:

„Kto i dlaczego zwolnił Engela. Selekcjoner naszej drużyny narodowej po 17 Finałach Mistrzostw Świata propagował różne teorie. A to spisku członków Wydziału Szkolenia na czele z Rudolfem Kaperą, a to Zbigniewa Bońka, któ-

ry miał wsparcie dziennikarzy, a to grupy szefów mediów na czele z Marianem Kmitą z Polsatu, Januszem Basałajem..., a także do Pawła Zarzecznego z „Prze-
glądu Sportowego”... Prawda jest jednak taka, że Engel zasługiwał na połajanki
czy wręcz gromy, ale nie dlatego, że następcą miał zostać Boniek, a dlatego, że
na to zasłużył... A teraz Engel opowiada po mieście, że to Boniek i Kołtoń go
zwolnili... Pierwszy Engela zaatakował Henryk Apostel. Dodam do tego od sie-
bie: – Zrobił to słusznie i... profesjonalnie”.

❧ CZEŚĆ V ❧

PÓŁ WIEKU PÓŹNIEJ

We własnym domu
Współczesna „gorączka złota”
Złodziej czy sutener?
Sędziowskie amory
Polowanie na Janasa
Dzoker łowcą bramek
Rasiak, Piechna czy Sosin?
Znowu w Niemczech
Janek i Piotruś kontra PZPN
Odcienie „czwartej władzy”
Kulisy Euro 2008 i... 2012

Gdybym opisywał dzieje wyłącznie własnego żywota, mógłbym nieco w szerszym wymiarze sięgnąć pamięcią nie tylko do pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Wszak już w międzywojniu przez blisko dziesięć lat doznawałem dobrodziejstw i niepowodzeń drugiej Rzeczypospolitej. Było to spojrzenie chłopięce, zbyt subiektywne i niedojrzałe. Zresztą wszystko, co działo się Polsce do roku 1939, z różnym skutkiem, raz świadomie fałszując rzeczywistość, kiedy indziej zbyt ją ubarwiając, co też trudno by było uznać za zgodne z prawdą obiektywną, na swój sposób opisywali historycy, a politycy wysnuwali z tego wnioski wygodne wyłącznie dla siebie.

Ja, odnosząc się do tamtych lat, a myślę głównie o sporcie, z czystym sumieniem mogę podkreślić, że fajtłapą nie byłem. Najpierw udowodniłem to w drużynie zuchów w usportowionej szkole numer 2 w Skierniewicach, wówczas imienia Józefa Piłsudskiego, a nieco później w konspiracyjnym harcerstwie – Szarych Szeregach. Dziś przypominają mi o tym przyjaciele z tamtych lat, a potwierdzają liczne wyróżnienia i odznaczenia, w stopniu największym Krzyż Armii Krajowej.

Potem była Rzeczpospolita „dwa i pół”, jak to dziś widzą i oceniają niemal wszyscy dziejopisarze. Politycy nie dostrzegają nawet tej „połówki”. To boli i zadziwia wielu Polaków. Jeśli bowiem były premier Trzeciej Rzeczypospolitej Jan Krzysztof Bielecki twierdzi publicznie, że tzw. „komuna” wyrządziła naszemu krajowi większe szkody, niż okupacja hitlerowska, to być może – jest też przekonany, że to „ruscy” zburzyli Warszawę, a „szkopy” ją odbudowali. Kto mu naopowiadał takich głupot? Zaraz po wojnie, mimo że – zdaniem wielu Polaków – jedna okupacja została zastąpiona drugą, już nie musiałem zdobywać wiedzy na tajnych kompletach w słynnym wtedy w Skierniewicach „Belwederze” dla bezdomnych, ale w pięknym gmachu gimnazjum i liceum im. Bolesława Prusa. Przez kilka lat był „Nur fuer Deutsche”.

Wraz z byłymi szaroszeregowcami współtworzyłem Harcerski Klub Sportowy „SKAUT”, który zwłaszcza w piłce nożnej staczał zacięte boje nie tylko z kolejarską „Unią”, ZWM-owskim „Zrywem” i rywalami z OM „TUR”. Uczestniczyłem w normalnych rozgrywkach Łódzkiego OZPN, bez obaw przed jakąkolwiek łapanką, co – niestety – dla entuzjastów futbolu w latach 1940 – 1944 było nieosiągalne.

Na własne oczy widziałem niemal wszystkie mecze reprezentacji rozgrywane zaraz po wojnie na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie. Tam piłkarze występowali oczywiście w „biało-czerwonych” kostiumach, wiedziałem dobrze, że to moi rodacy, a nie przebrani „ruscy”. Bramkarz Antoni Janik, obrońca Tadeusz Parpan, pomocnicy Mieczysław Szczurek i Gerard Gajdzik, napastnicy Mieczysław Gracz i Gerard Cieślik oraz ich koledzy z reprezentacji utwierdzili mnie w przekonaniu, że jestem wśród swoich. Oni grali, a ja śpiewałem Mazurka Dąbrowskiego. Nie Międzynarodówkę, nie „Naprzód młodości świata” i nie hymn Związku Radzieckiego lecz właśnie **„Jeszcze Polska nie zginęła”**. Zresztą rodakom spragnionym zwycięstw piłkarzy nie przyszło by do głowy, że w roku 1948 z Czechosłowacją wygrali 3:1 kolejni zaborcy. Ze stadionu, hen daleko – na Łazienkowską, Czerniakowską, Myśliwiecką i Rozbrat wydobywał się z wielu tysięcy gardeł tylko jeden jakże swojski okrzyk: – **Brawo Polska! Niezwyciężeni!!!**

Kilka lat później, zaraz po studiach na Uniwersytecie Warszawskim, a nie na przykład im. Michała Łomanosowa w Moskwie, osobiście poznałem: Edwarda Brzozowskiego, Henryka Borucza, Tadeusza Waskę, Tadeusza Parpana, Ewalda Cebulę, Mieczysława Gracza i Stanisława Różankowskiego słynnego „główkacza” z Cracovii, niewiele ode mnie starszego Gerarda Cieślika, rówieśników Edmunda Zientarę, Leszka Jezierskiego, Romana Korynta, Ryszarda Kuleszę i – to już zupełnie inny rozdział – Kazimierza Górskiego. Wszyscy mówiliśmy i my-

śleliśmy po polsku, wszyscy byliśmy przepojeni głębokim patriotyzmem. Wojna i okupacja nas tego nauczyła. Z Krzysztofem Baszkiewiczem zaprzyjaźniłem się już w październiku 1944 roku, kiedy to obdarty i pokaleczony nastolatek z Biełan, wkrótce po upadku Powstania Warszawskiego, znalazł przytulne schronienie w Skierniewicach. Z „Baśką” i dziesiątkami rówieśników, autentycznych „dzieci Warszawy” kopaliśmy piłkę na dzisiejszym placu targowym, tym w bliskim sąsiedztwie „Belwederu”. To było silniejsze, niż hitlerowskie zakazy.

Nadszedł jednak rok 1953, w którym ostatecznie wkroczyłem w dorosłe, samodzielne życie. Pełne kontrastów. Niby barwne i młodzieńczo beztroskie, w istocie przykre na wielu płaszczyznach, buntownicze. Kłopotów nie brak było też na studiach. Nie raz chciało się to wszystko rzucić i zająć się zawodową grą na akordeonie i amatorskim kopaniem piłki. Szokujące doświadczenia z poligonu wojskowego w Muszakach odwiodły mnie od tego zamiaru. Wybrałem dziennikarstwo sportowe, zgodnie z wykształceniem i zamiłowaniem. Ale i tu początki nie były łatwe. Wszędzie wdzierала się ideologia i polityka. Nie tak wyobrażałem sobie to dorosłe życie.

Również sport, który dotychczas wydawał mi się oazą uczciwości, prawa i sprawiedliwości, żywym przykładem bezinteresowności i nieudawanej czystości moralnej, w praktyce mocno różnił się od tych ideałów. Braku poszanowania „czystej gry” doznałem nawet na ćwiczeniach wojskowych. Grano w piłkę pod przybranymi nazwiskami i bez jakichkolwiek uprawnień. Jeśli tam, gdzie powinna obowiązywać „żelazna” dyscyplina i bezwzględne przestrzeganie regulaminów, gołym okiem widać było przekręty, to jak to wygląda w życiu codziennym? Zrodziła się wątpliwość: – *Czy wszędzie we współczesnym świecie omija się prawo i głosi makiawelistyczne półprawdy, że „cel uświęca środki”?*

To nie był świat sportu o jakim marzyłem. Cały świat był wtedy inny! Rywalizowały ze sobą dwa systemy – kapitalistyczny i socjalistyczny, antagonistycz-

ne nie tylko w formach sprawowania władzy, także w światopoglądzie, ideologii, gospodarce i polityce. A więc w sporcie również, bo nie był i nie mógł być wolny od tych ułomności. Niedawni sojusznicy stali się nieprzejednanymi wrogami. W Polsce ciosy zadane futbolowi przez narzuconą władzę były szczególnie dotkliwe. Zaliczono tę piękną dyscyplinę do sportów czwartej kategorii. Nie sądzę, żeby tak brutalne potraktowanie piłki nożnej w Polsce było typowe dla całego bloku wschodniego. Tam przecież gra w futbol była wymarzoną materiałem propagandowym. U nas – w tej właśnie materii – rodzimi realizatorzy dyktatury proletariatu wyraźnie się zagapili. Praktycznie poza Polską we wszystkich krajach demokracji ludowej podległych „starszemu bratu”, futbol był wymarzoną formą gloryfikacji narzuconego ustroju i dość skutecznym orężem w walce politycznej. Sport – w założeniu – miał i mógł łamać międzynarodowe bariery. Podział świata na dwa wrogie sobie obozy, „zimna wojna” i „żelazna kurtyna” spowodowały jednak, że i tu granic wolnych od kordonów – nie było.

W czasie realizacji w Polsce „sześcioletniego planu budowy podstaw socjalizmu” futbol zepchnięto na boczny tor. Wprawdzie jeszcze gorzej potraktowano „elitarny” tenis ziemny, ale piłkarstwu ligowemu przy każdej okazji wypominano „burżuazyjny rodowód”. Następstwa były opłakane. W roku 1950 kierując się nakazami z zewnątrz zlikwidowano PZPN, a w jego miejsce utworzono przy głównym Komitecie Kultury Fizycznej swoistą atrapę – Sekcję Piłki Nożnej. Okręgowe związki też wykreślono z rejestru i zastąpiono mało znaczącymi ogniwami Wojewódzkich KKF. Kluby przekształcono w koła sportowe i odebrano im tradycyjne nazwy. Sport opanowali biurokraci z pionów, zrzeszeń i federacji sportowych.

Po śmierci Stalina dobrano się również do nazw niektórych miast i ulic. Katowice na przykład aż do „październikowej odwilży” w 1956 roku nazywały się Stalinogrodem, a Aleje Ujazdowskie w Warszawie (tam przez kilkadziesiąt

lat pod numerem 22 mieścił się PZPN) Alejami Stalina. Systematycznie ograniczano kontakty z Zachodem. Piłkarstwo tylko w czasie realizacji „Trzyletniego Planu Odbudowy Kraju” ze zniszczeń wojennych utrzymywało kontakty ze światem kapitalistycznym. Priorytet miały oczywiście mecze z sąsiadami z obozu „ludowej demokracji”, nazywaliśmy to „smażeniem się we własnym sosie”, ale właśnie wtedy nasza reprezentacja grała również z piłkarzami Norwegii, Finlandii, Szwecji i Danii. Pierwsza po wojnie kadra narodowa dość udanie podróżowała również po Szkocji, a kluby i okręgi rozgrywały mecze towarzyskie, między innymi z angielską Armią Renu i szwedzką Kamraterną Norkoeping.

Pierwszy po wojnie mecz międzypaństwowy Polska rozegrała w czerwcu 1947 roku z Norwegią w Oslo. Dlaczego akurat tam? To mocne świadectwo losów przeżytych przez te kraje w czasie hitlerowskiej okupacji. Właśnie Polska i Norwegia były wtedy jedynymi w Europie narodami, którym najeźdźca całkowicie zabronił uprawiania piłki nożnej. To niezwykle spotkanie dość wyraźnie (3:1) wygrała nieco mniej okaleczona przez Niemców reprezentacja Norwegii. Naszą drużynę w większości tworzyli piłkarze dobrze znani już przed wojną, między innymi Władysław Szczepaniak z Polonii Warszawa, Edward Jabłoński z Cracovii i Stanisław Kazimierczak z Warty Poznań. Byli wśród nich także Mieczysław Gracz i Gerard Cieślik bezwzględnie dwaj najlepsi polscy piłkarze z czasów zniewolenia.

JAK „DŻUMA” ALBERTA CAMUS’A

Lata 1950 – 1956 to bardzo zły okres w historii polskiego narodu. Stalinizm, jak dżuma ze znanej powieści Alberta Camusa, też dobrego piłkarza – wdarł się również w każdą szczelinę naszego futbolu.